

# Sarmacka żegluga na rezurekcję



**ADAM  
CIEŚIELSKI**

dziennikarz  
muzyczny

**Lubię podróże. Jeżdżę głównie zawodowo. W roli dziennikarza byłem niedawno w Komańczy, przygotowując reportaż o cerkwiach łemkowskich. W roli świadka sukcesów Tadeusza Kantora (z jego teatrem na przelomie lat 80. i 90. XX w. objechałem świat) bywam w Berlinie i Paryżu, a jako specjalista od muzyki 26 razy byłem na targach MIDEM w Cannes. Nie ma jednak jak prywatna wyprawa w gronie kolegów, z ludźmi różnych pokoleń i zawodów. Skrzykujemy się dwa-trzy razy w roku, by kilka dni spędzić w Drohiczyńcu, Sandomierzu, Lesznie czy Janowcu. Czas upływa na wędrówkach, kontemplacji śladów historii, wieczornych lekturach przy winie.**

W podobnej atmosferze upłynął nam świeży wypad do Kępy Polskiej. To tylko niecałe 100 km od Warszawy, a już całkiem inny świat. Z powodu mrozu musieliśmy ograniczyć plany

spluwania Wisłą do Płocka, ale do tego miasta jednak dotarliśmy. Kilka godzin spędziliśmy w Muzeum Secesji. Klimta czy Muchy nie zauważyłem, ale jest Wyspiański, Mehoffer, Awentowicz, wielu innych artystów.

Przy kolacji dzieliliśmy się wrażeniami. W miarę upływu godzin dyskusja z historii sztuki skręciła w stronę realiów współczesnych. I to nie artystycznych, a językowych. Pojawiły się biadania nad zubożeniem dzisiejszej polszczyzny, wulgaryzacją, brakiem kultury w dyskursie publicznym. Podzielając wiele tych obaw, starałem się jednak przypomnieć o znanej teorii zmiany językowej jako procesie naturalnym. Pod świeżym wrażeniem lektury erudycyjnej książki Daniela Hellera-Roazena „Echolalie. O zapomnianiu języka” (Wyd. Słowo/Obraz/Terytoria) przywoływałem opinię autora, że w mowie konstrukcja i destrukcja zawsze idą w parze, a prawdziwe kataklizmy zdarzają się rzadko. Moje starania nie wszystkich zdołały jednak rozchmurzyć. Sięgnąłem zatem po wypróbowany środek kojący – głośne czytanie fragmentów „Pamiętników” Jana Chryzostoma Paska, tematycznie zbiegające się z naszą peregrynacją wśród nadwiślańskich rozlewisk. Sarmacki kronikarz

z Mazowsza rodem służył pod Czarnieckim i 1,5 roku spędził z nim w Danii, wspomagając ją w konflikcie ze Szwecją. W 1659 r., jak pisze, „zachciało mi się morzem jechać na nabożeństwo wielkanocne do Aarhusen”. Wypłynął o północy w Wielką Sobotę, by zdążyć na rezurekcję. Dotarł dopiero na nieszpory, bo duńska załoga w ciemnościach pomyliła drogę, niebezpiecznie zbliżając się do pozycji nieprzyjacielskich. Szwedzi wszczęli pościg: „suną za nami sześciami barek, kiedy my też poczniemy chyżego zaciągać!”. Udało się ująć, ale nim Polacy dopłynęli do celu, przeżyli burzę morską. „Barka trzeszczy, co ją przełamują wały [...], żem musiał zawołać: Boże nie daj nam zginąć!”. Pasek prosto z portu udał się do gospody, przebrał się w cieplej izbie i dochodził do siebie. „Kazałem spory garniec miodu wstawić (bo tam wina złe), nasypałem gwoździków, imbiru, tom tak pił. Jakem kąsek otrzeźwiał, [...] posłałem do księdza Piekarskiego, prosząc o święcone jajko i kazałem opowiedzieć, w jakich byłem terminach. Przysłał mi tedy baranka, placków i jajec. Dopierom zażył święconego”.

Tak świętowali Wielkanoc i tak potrafili o tym pisać barokowym językiem Sarmaci. Miło to poczytać i dziś!